Ecce homo!
Diego, Leo, ręka, dupa.

Diego Armando Maradona. Bóg futbolu i narodowy bohater Argentyńczyków, z których reprezentacją zdobył złoty i srebrny medal mistrzostw świata. Podczas mundialu w Stanach Zjednoczonych, po kilku dość udanych meczach, w wyniku testów antydopingowych, wykryto w jego ciele ślady niedozwolonych środków i w niesławie musiał pożegnać się z turniejem. Osierocona przez swojego lidera i największą gwiazdę drużyna odpadła już w 1/8 finału z Rumunią. To był koniec kariery „boskiego" Diego w reprezentacji Argentyny.

Nie pamiętam już kto, ani tak naprawdę co dokładnie kiedyś napisał, ale sens zapamiętałem dobrze. Bycie kibicem to wieczna frustracja. Życie trenerów, piłkarzy podobnie. Bo jeśli nawet zdobędzie się wszystko, co możliwe , już zaledwie kilka miesięcy później cała zabawa zacznie się od początku, a punktacja znów liczyć będzie od zera. I nie będzie miało znaczenia, w jak wspaniałej formie byłeś przed przerwą, ba, nie będzie miało znaczenia, jaki byłeś wczoraj nawet, ale to jedynie, co masz do zaoferowania dzisiaj. Tu i teraz. Nie sposób nie odkryć banału w powyższym stwierdzeniu, ale czy to nie wspaniałe? Jesteś totalnym żółtodziobem, wchodzisz do gry z wielkimi gwiazdorami światowej sławy, a i tak możesz bohaterem być ty, jak choćby Robbie Fowler, który w pierwszym meczu na legendarnym stadionie Anfield Road zdobył wszystkie pięć goli w meczu z Fulham Londyn. Był to rok 1993, a Robbie miał wtedy osiemnaście zaledwie lat. Wszystko zależy od ciebie i tej chwili.

To piękne w tym sporcie i w życiu, jeśli tylko chcemy je tak postrzegać. A jakie to, za przeproszeniem, chrześcijańskie. Nawet wiszący łotr otrzymał łaskę przebaczenia, bo w ostatnich chwilach swojego marnego ,w sumie, żywota, wykorzystał czas, który mu pozostał, a wiele go przecież nie było, do skruchy, a Jezus, jak to Jezus, nie pytał o to, co było, tylko o to, co teraz. Chyba za rzadko tak myślimy o sobie, ale również i o innych. To oczywiście może oznaczać, że nie chcemy być naiwni, ale czy zawsze warto? Nadstawiać drugi policzek, czy rozwijać w sobie zasady ograniczonego zaufania do świata; dziecięca ciekawość i łatwowierność, czy podejrzliwość i niepewność? Wiara uczy miłosierdzia, życie mądrości w poszukiwaniu złotego środka. Ale patrząc na siebie, wstając rano z łóżka, może jednak warto pomyśleć, że ten mecz rozgrywa się dziś, nie ma już znaczenia wczoraj, a jutro będzie, albo i nie. Teraz się liczy. Teraz ma znaczenie. Bo sprytniejsi mogą przysnąć, lepiej uposażeni być nieostrożni, a szans przegapionych nikt nie zwróci. Teraz.

Długo wydawało się, że nikt nie ośmieli się nawet aspirować do zawładnięcia sercami argentyńskich kibiców w takim, bądź chociaż zbliżonym stopniu, co boski Diego. A jednak, pojawił się On. Nowy idol, nowa gwiazda na archipelagu największych z największych, zmieniająca historię piłki nożnej. Lionel Messi. Długo oczekiwany mesjasz futbolu, w którym miliony zwolenników szukają szansy na odzyskanie po wielu latach tytułu mistrza świata dla Argentyny. Czarujący grą tak

efektowną a przy tym efektywną, że zdobywa sobie uznanie nawet kibiców drużyn przeciwnych, z którymi się mierzy.

A Diego? Diego wygrzewa się w blasku czynów minionych, pozostając postacią kultową wręcz dla całego świata, utożsamiającą piękno gry w każdym niemal jej wymiarze. Bo to naturalna kolej rzeczy jest, że nasi bohaterowie przechodzą z czasem na własność świata, jako symbol danej epoki. Życie się zmienia, zarówno w globalnym jak i lokalnym wymiarze, a wybitne jednostki pozostają w świadomości społecznej jako personifikacja czasów, w których przyszło im żyć. Maradona poza problemami z alkoholem, narkotykami, bez sukcesów również próbował swych sił jako trener a nawet w argentyńskiej odsłonie popularnego programu "Dancing with the stars".

Ale przecież my nie wierzymy w ludzi, bo tak naprawdę ich nie znamy i w większości nie poznamy, choćby nie wiem jak bardzo ekshibicjonistyczne relacje medialne do nas o nich docierały. My wierzymy w idee, które stoją za tymi postaciami. Nie pamiętamy, nie chcemy pamiętać Diego Armando Maradony jako tancerza, słabego trenera czy człowieka z mnóstwem słabości. Dla nas to przede wszystkim geniusz futbolu, który uszczęśliwiał miliony kibiców swoimi zagraniami, tworząc niezapomniane spektakle z prostej w swojej istocie gry, za co pokochały go rzesze fanów. I żadne narkotyki ani późniejsze błazenady nie odbiorą już mu tytułu jednego z najważniejszych piłkarzy wszechczasów, ani tych emocji towarzyszących nam podczas jego występów. Czy słuchając muzyki Rachmaninova zastanawiamy się, jak ten genialny kompozytor traktował swoją rodzinę, czy cokolwiek o nim wiemy? Jakie ma to znaczenie? Ważne jest dzieło, przekaz, który wysyła on w świat. To jego twarz dla odbiorców tej sztuki. Zbyt uważne spoglądanie w prywatne życie artystów, myślicieli i mistrzów grozi niebezpieczną syntezą postaci i jego pracy, co z kolei implikuje dewaluację dzieła, zupełnie zresztą w większości przeogromnej niezasłużoną.

Przez wiele lat karmiono nasze marzenia o wielkości mitem „Orłów Górskiego”, jako najwspanialszej drużynie piłkarskiej, jaką nasz kraj na świat wydał. Nie zdobyła ona mistrzostwa świata, do finałów rozgrywek o najlepszą reprezentację Europy się nawet nie zakwalifikowała, a żaden z jej zawodników tytułu najlepszego futbolisty nie otrzymał (choć po prawdzie Kazimierz Deyna rzeczywiście był tego bliski, wszak trzecie miejsce w najbardziej chyba prestiżowym plebiscycie tego typu na świecie, ankiecie magazynu „France Football” nobilituje jak żadne inne wyróżnienie indywidualne w tej konkurencji). Generacje polskich futbolistów się zmieniały, ale wciąż nimb dawnej świetności rzucał się gęstym cieniem na brak sukcesów następców Gorgonia, Laty i Szarmacha (pomijam niesprawiedliwie zresztą zupełnie ekipę trenera Piechniczka, która w 1982 roku również zdobyła 3 miejsce na świecie, jednakże z nie do końca zrozumiałych względów nie cieszy się taką estymą i pamięcią jak drużyna rozgrywająca swoje zawody osiem lat wcześniej). Sam z dzieciństwa pamiętam rzewne wspomnienia o tym, jak to kiedyś Polacy grali... Aż w końcu zjawił się Robert Lewandowski, Arkadiusz Milik, i jeszcze kilku młodych piłkarzy, którzy sprawiają, że możemy czuć się dumni z gry tych zawodników, ale i całej reprezentacji, która w końcu potrafi ograć w meczu o punkty aktualnego mistrza świata!

Sytuacja ta taką myśl we mnie rozbudziła, która z kolei w hipotezę przeobraziła się szczególną, mianowicie taką, iż w im bardziej dalekich czasach bohaterów naszych szukamy, największe powody do dumy znajdując w zamierzchłych czasach, wielokrotnie znanych nam z opowiadań jedynie, tym mniej powodów do zadowolenia z nas samych znajdujemy aktualnie. Pytanie tylko, czy słusznie.

Historia to wspaniały i silny korzeń naszego zbiorowego jestestwa, ale kręgosłup musimy budować tu i teraz. Świat nieubłaganie prze do przodu. Dzisiejszy dzień niesie zupełnie nowe wyzwania, zmieniamy się my, zmienia się cała rzeczywistość. Dzieła naszych przodków, ich spuścizna powinna być dla nas wyzwaniem i wezwaniem jednocześnie do coraz to mądrzejszego życia. Jeżeli wczorajsi bohaterowie ginęli za wolność, to jak tę wolność potrafimy wykorzystać? Jeżeli walczyli o pokój, co robimy, żeby w tym pokoju jak najpiękniej wytrwać? Czy dorobek myślowy i kulturalny twórczo rozwijamy, czy zamykamy go raczej w skansenach inercji, skazując się na humanistyczny regres?

Niemcy historii swojej, przynajmniej tej nowszej, dwudziestowiecznej, raczej gloryfikować nie powinni, a jednak potrafią być narodem dumnym. I nie myślę tu bynajmniej o poezji Goethego, muzyce Beethovena czy myśli Nietzschego. To przeszłość. Ale przedsiębiorczość, pracowitość, porządek, to cechy, dzięki którym wciąż są gospodarczą potęgą, miejscem dla wielu wymarzonym do życia, a przy tym przyjaznym dla przybyszów (w dużym stopniu, jeżeli nie największym nawet, przez wstydliwe fakty historyczne właśnie). To wspaniałe, kiedy ludzie znajdują w sobie rzeczy, które sprawiają, że czują się jako zbiorowość atrakcyjna i nie muszą kompulsywnie oraz desperacko wielkich szukać zdarzeń, dawnych i bohaterskich czynów, żeby myśleć o sobie jak najlepiej. To, co powinno decydować o naszej samoocenie, powinno być jak najbardziej teraźniejsze, tożsame z nami, a nie z naszymi pradziadami.

Trywialna paralela: kiedy w pierwszej czy drugiej klasie szkoły podstawowej same piątki na świadectwie się pojawiały, rodzice bardzo dumni z pociechy byli, że taki mądry on i pracowity. Ale kiedy w siódmej promocji do następnej nie otrzymał, już tak bardzo zadowoleni nie byli, a wcześniejsze sukcesy marną pociechą się okazać miały. Ciągle pracować musimy nad naszym samopoczuciem osobistym, ale i wspólnotowym. Obarczanie historii apologetyczną rolą naszej miałkości to droga donikąd, za to smutna i wyjątkowo niebezpieczna. Konstytuować siebie i naszą dumę musimy tu i teraz, przeszłość to fundament, ale czy na nim tworzymy szałas, czy solidną budowlę, to już nasze zasługi lub zaniedbania.

Mało tego. Im piękniejsza historia, tym większe wyzwanie dla współczesnych. Udźwignąć wielowiekową presję dziejową nie jest łatwo, znacznie prościej stać się własną karykaturą lub pośmiewiskiem. Bayern Monachium wychodząc na ligowe spotkania dumnie na koszulkach cztery gwiazdki prezentuje. Oznaczają one ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że zdobyli oni już dwadzieścia tytułów mistrzowskich. Piękna historia, wielkie wyzwanie. Jaki to wstyd byłby, gdyby z takimi tradycjami drużyna z ligi spadła, lub w kompromitującym stylu walkę o najlepszą niemiecką drużynę oddała. Tak, historia to powód do dumy, ale jeśli tylko ona, to znak, że dzieje się niedobrze. To diagnoza szukająca jak najszybszego znalezienia panaceum na

dzisiejsze bolączki, które nie pozwalają myśleć nam o sobie pozytywnie we współczesnym świecie.

W tej kwestii jednakowoż jestem jednak umiarkowanym optymistą. Uważam, że w Polsce dnia dzisiejszego dzieje się mnóstwo pięknych rzeczy, wartościowych, ważnych dla świata i dających przykład wielu innym narodom. Problem w tym, że zamiast na tym budować tożsamość, z sukcesów wytwarzać energię do tworzenia coraz lepiej skonstruowanego, naszego małego universum, szukamy dziur, niedoskonałości, a w demolce i niszczeniu, siebie samych tak naprawdę przecież, perwersyjną przyjemność odnajdujemy. Nikt tak Polaka nie szykanuje jak drugi Polak. Zawiść i kompleksy odbierają nam instrumenty do zbudowania zbiorowości pozytywnej, zadowolonej z siebie i gotowej do dalszej pracy na rzecz jeszcze lepszego jutra. Bo idealnie to przecież nie będzie nigdy. To pewne. Pewne jest również i to, że jest na czym budować i z czego. Tak, tu i teraz. Za bardzo jednak szukamy winnych, a za mało rozwiązań na przyszłość najbliższą i tę trochę dalszą. Zamiast tworzyć energicznych liderów, burzymy pomniki i odczarowujemy mity. Kardynalne zarówno w kontekście zmian światowych jak i naszej tożsamości.

Jakże się marzy forma debaty politycznej wykorzystująca w dyskursywnej materii jedynie czas przyszły i teraźniejszy. Wykorzystanie logiki, a nie propagandy w zalewie efektownych, acz pustych figur retorycznych. Żeby wygrać mecz, trzeba przecież odrobić straty, strzelać kolejne gole. To główny cel w zawodach sportowych, ale także w życiu. Ustanawiamy instytucje monitorujące, ścigające przestępców i dochodzące sprawiedliwości, ale ważne jest przecież to, co będzie dalej. Inaczej życie traci sens. „Dopóki piłka w grze”, jak mawiał wspominany już wcześniej Kazimierz Górski.

25.05.2005 roku odbył się finał Ligi Mistrzów z udziałem mistrza Włoch, AC Milanu, oraz Anglii, FC Liverpoolu. Do przerwy wygrywali Rossoneri, jak się pieszczotliwie nazywa ekipę z Mediolanu, ze względu na klubowe, czerwono-czarne barwy. Trzy do zera. Wydawało się, że na tym etapie rozgrywek to wynik przesądzający losy spotkania. A jednak. Niemożliwe stało się faktem i drużyna prowadzona przez Rafaela Beniteza zdołała wyrównać, doprowadzić do konkursu rzutów karnych i go wygrać, między innymi dzięki fenomenalnym interwencjom polskiego bramkarza, Jerzego Dudka, zapamiętanego przez cały piłkarski świat przez sławetny taniec na linii bramkowej, deprymujący strzelających Włochów. Sukces nie byłby możliwy, gdyby nie naiwna, wydawać by się mogła, wiara w sens walki do końca. Ta naiwność, choć nie zawsze kończy się tak wspaniale, decyduje jednak o jakości gry, jak i o ocenie postawy poszczególnych zawodników oraz całej drużyny. Na tym opiera się całe piękno futbolu. Na tym wreszcie opiera się piękno życia, na ciągłej wspinaczce, walce o kolejne gole. Czasami jest dupa totalna i 0:3, brak perspektywy przejścia żelaznej obrony przeciwnika, czasami idzie łatwiej, ale warto grać. Gra jest piękna, jeśli patrzymy przed siebie. Nie ułatwi nam zwycięstwa aura dawnej świetności ani cień straconej przed chwilą bramki, ale coraz lepsza gra, coraz śmielsze akcje, a nawet gdyby się nie udało, fajnie jest grać do końca. To w końcu tylko 90 minut. To tylko jedno życie.

Dla kibiców drużyny z miasta Beatlesów to był jeden z najwspanialszych momentów w historii ich ukochanego klubu. Ale swego rodzaju symbolem stał się

dla kibiców na całym świecie. Nie jest ważne, kto był lepszy do przerwy, ale kto wygrał na końcu. Piękna walka, wspaniała lekcja futbolu i życia, tak, niezłomności i wiary w sens determinacji. Tak zapamiętałem tę potyczkę.

Potrzebujemy takich symboli, takich mitów. One współtworzą obraz dziejowych idei, są twarzą myśli popychających nas wszystkich do przodu. Martin Luther King, Nelson Mandela, Vaclav Havel, Boris Jelcyn, Lech Wałęsa, Jan Paweł II. To punkty odniesienia rewolucji, zmian na lepsze, prorocy czasów nowożytnych. Przy wszystkich ułomnościach, kontrowersjach, niejasnościach, których nie sposób po ludzku zważyć, a które bardziej historyków i naukowców interesować powinny. Bo dzieło przerasta twórcę, idea swój symbol, a historia małostkowość. Nawet w Ewangelii można znaleźć znamienne zdanie: „Czyńcie więc i zachowujcie wszystko, co wam polecą, lecz uczynków ich nie naśladujcie. Mówią bowiem, ale sami nie czynią”(Mt 23,3). Cóż by się stało z chrześcijaństwem gdyby całe je mierzyć jedynie występkami kleru? Cóż by się stało ze sztuką, gdyby o jej wartości decydować miała moralna kwalifikacja artysty, a nie jakość stworzonego przezeń wytworu?

W ćwierćfinale mistrzostw świata w Meksyku, w 1986 roku, Argentyna wygrała 2:1 z Anglią. Oba gole dla zwycięzców zdobył Diego Maradona. Drugiego z nich po efektownym rajdzie przez połowę boiska, jednak to ten pierwszy na stałe wpisał się do annałów pomyłek sędziowskich, jak i boiskowego cwaniactwa najwyższej próby. Jak wykazały telewizyjne powtórki, Maradona strzelił tę bramkę... ręką, co zresztą później w swoim stylu skomentował, iż była to po prostu ręka boga. Charyzmatyczny, ale i kontrowersyjny piłkarz poprowadził wtedy swoją ekipę na szczyt. I dziś jest ikoną, legendą. Ze wszystkimi skazami, które jednak, takie przynajmniej odnoszę wrażenie, zbliżają go do ludzi, też pełnych sprzeczności i słabości. Nie umniejsza to jednak jego wielkości ani tym bardziej zasług i dokonań. Próżno w świecie bohaterów szukać świętości, ale przecież są to główne postaci mitów, które są nam potrzebne do opisywania świata, a nie procesów beatyfikacyjnych. Czy jest dumą Argentyny czy raczej pariasem? Myślę, że jest ważną postacią dla wszystkich kibiców, dlatego południowoamerykańscy fani mogą tym bardziej odczuwać satysfakcję, tworzącą nadzieję i wiarę, że ich ziemia wydaje na świat geniuszy, ambasadorów ich kraju na cały świat. Ich kraju, a naszej piłki nożnej. Bo to piękna gra jest, po prostu.

A dlaczego tak dużo tu o Maradonie, a nie o takim geniuszu, jakim był na przykład Brazylijczyk Pele, zapyta ktoś? A domyślcie się sami. Ja tam go jakoś tak lubię. Jak on płakał po przegranej w finale z Niemcami w 1990, przepraszam, z RFN!

Ecce homo!